





Damskie spotkanie na szczycie

Baruntse jest jak kobieta – trochę kapryśna, nieprzewidywalna i niedostępna, ale jaka piękna! Problem polegał na tym, że od dwóch lat nikomu nie udało się jej zdobyć.

Izabela Czaplicka

Zdjęcia Izabela Czaplicka, Marcin Dudek

W drodze do base campu
– lodowiec prowadzący
na przełęcz Mera La

Tę wyprawę zaczęłam planować dobre trzy lata temu. Z Agnieszką miałyśmy już za sobą wizytę w niższych, górskich pasmach – oczywiście w Tatrach, ale też w Alpach i Andach. Kolejnych celów w bliższych nam okolicach oczywiście nie brakowało, ale w Himalaje chciałyśmy pojechać przede wszystkim z ciekawości. Wybór góry oparliśmy na prostych kryteriach: musi być wyższa niż nasz dotychczasowy rekord, czyli Aconcagua, nie może być oblegana przez tłumy wspinaczy (jakoś nie pociągała nas wizja trzystu namiotów w base campie), no i cena permitu powinna być w miarę przystępna – co z miejsca wykluczyło wszystkie ośmiotysięczniki. Selekcji dokonaliśmy za pomocą portalu summitpost.org i lektury internetowych relacji z wypraw w tamten region. Baruntse (7129 m n.p.m.) od razu wydała się nam idealną kandydatką. O tym, że wierzchołek nie zdobył jeszcze żaden Polak, nie miałyśmy wtedy zielonego pojęcia. Dowiedziałyśmy się o tym dużo później. Zresztą fakt ten nie miał dla nas żadnego znaczenia.

Plan był zatem gotowy, okazało się jednak, że gorzej z jego realizacją. Ciągłe coś stawało nam na przeszkodzie. A to niespodziewane zwolnienie z pracy, a to brak pieniędzy lub towarzystwa na wyprawę. W międzyczasie, zamiast w Himalaje, pojechałyśmy w Tien-szan, na Chan Tengri. I dobrze się stało, bo z zapoczątkowanych na tej wyprawie znajomości wywodzi się większość składu wyprawy na Baruntse 2011.

Ekipa rodziła się bardzo dynamicznie i właściwie dwa tygodnie przed wylotem nie mieliśmy pewności, kto ostatecznie pojedzie do Nepalu. Dały o sobie znać trzy główne przeszkody, czyli praca, finanse i protesty najbliższych. Ostatecznie z jedenastu osób wylecieliśmy w siódmkę. Do naszej ekipy dołączyła znana himalaistka Ania Czerwińska, której nie trzeba bliżej przedstawiać. Możliwość działania z legendą polskiego himalaizmu była naprawdę cennym doświadczeniem. Barwne opowieści Ani umiliły nam niejedną wieczór, a jej doskonale wyposażona apteczka kilkakrotnie uratowała dobrą kondycję naszych organizmów.

Blaski i cienie Katmandu

W Katmandu wita nas uroczy chaos i przebijające się przez wszystkie inne dźwięki odgłosy klaksonów. Wiem, że nigdy nie odważyłabym się usiąść za kierownicą w stolicy Nepalu. Do dziś nie mogę się nadziwić, że nikt nie zginął na naszych oczach pod kołami. A na deser mnóstwo

sklepów ze sprzętem i odzieżą górską. Większość z nich to mniej lub bardziej udane podróbki.

– Not original – sprzedawcy nawet nie próbują ukryć tego faktu. Podobnie jest z szeregiem innych dóbr – płytami z muzyką, filmami, zegarkami i innymi gadżetami.

Na zakupy przyjdzie jeszcze czas. Na razie koncentrujemy się na jak najsprawniejszym zorganizowaniu wylotu do Lukli i logistyki wyprawowej. Przy ekspedycjach takich jak nasza istnieją dwie możliwości – albo zleca się lokalnej agencji organizację formalności od A do Z (co oznacza spustoszenie konta, ale i święty spokój), albo wybiera wersję minimum i uzbraja w anielską cierpliwość. My ze względu na ograniczone zasoby finansowe zdecydowaliśmy się na opcję numer dwa, dzięki czemu przeszliśmy prawdziwą szkołę życia.

Najciekawszym doświadczeniem było dla nas spędzenie dwóch bitych dni w ponurym gmaszysku, gdzie błagaliśmy o wy-

danie cargo, które zostało potraktowane jako import i oclone niebotycznie wysoką stawką. System wypłuł w końcu bagaże, nie obyło się jednak niestety bez sporej finansowej zachęty z naszej strony. Warto jednak było, gdyż wizja podboju himalajskich śniegów w butach trekkingowych nie należała do najprzyjemniejszych.

Lukla, czyli brama Himalajów

W końcu małym dziesięcioosobowym samolotem bez uszczerbku na zdrowiu lądujemy na słynnym lotnisku w Lukli, szczytującym się mianem jednego z najmniejbezpieczniejszych na świecie. Niezwykle krótki pas startowy, mierzący jedynie 460 metrów, kończy się z jednej strony urwiskiem, a z drugiej skalną ścianą, co uniemożliwia nawrót w przypadku niemożności wylądowania. Ląduje się więc pod górę, aby samolot mógł łatwiej wyhamować. Oczywiście, w Lukli nie ma jakichkolwiek systemów naprowadzania, co w razie mgły oznacza bliskie spotkanie z którymś z okolicznych szczytów. Bezpieczne posadzenie



maszyny wymaga więc od pilotów niebywałego kunsztu i precyzji, od pasażerów zaś stalowych nerwów.

Lukla to ostatni przyczółek cywilizacji. Stąd wyrusza większość wypraw mających za cel Mount Everest i inne himalajskie szczyty. Ogólnie dostępny jest internet, ku naszemu zdziwieniu w miasteczku znajdujemy nawet Starbucksa. Tu można też uzupełnić ewentualne braki sprzętowe, znów w wersji „not original”. Brakuje niestety bankomatów, co boleśnie odczuwamy w drodze powrotnej. Oczywiście i tu nie obyło się bez przygód. Wystarczającą liczbę tragarzy udaje się zwerbować dopiero pod koniec dnia, na trek wyruszamy więc około 16, i w rezultacie nasze pierwsze spotkanie z Himalajami odbywamy po ciemku.

Rzeczni tragarze to absolutnie niezastąpiony „środek” transportu w Nepalu. Przy tych drobnych chłopakach prawie każdy alpinista wypada błado. W klapkach, lekkim ubraniu, objuczeni ładunkiem o wadze nierzadko przekraczają-

cej 30 kilogramów truchtem pokonują strome górskie ścieżki, w przeciwieństwie do nas nie wykazując przy tym ani śladu zadyszki. Na lodowcu nie używają raków, a z poręczówek zamiast na ósemce zjeżdżają na własnych dłoniach. Ponieważ do górskich osad nie prowadzą żadne przejezdne drogi, to właśnie tragarze prze-

kilka bardzo różnych wcieleń Nepalu – skaliste przełęcze, przedziwne rododendronowo-bambusowe lasy, rwące rzeki, w końcu morenę lodowca. Układ przewyższeń doskonale służy aklimatyzacji – codziennie śpimy coraz wyżej, co sprawia, że do base campu docieramy, całkiem nieźle znosząc wysokość.

W klapkach, lekkim ubraniu, objuczeni ładunkiem o wadze nierzadko przekraczającej 30 kilogramów Szerpowie truchtem pokonują górskie ścieżki

noszą wszystko, co potrzebne jest do życia mieszkańcom himalajskich wiosek: żywność, napoje, drewno, a nawet elementy konstrukcji domów.

Kary nie chcemy

Aby dotrzeć do bazy pod Baruntse, odbywamy siedmiodniowy trekking. Widzimy

Przez przeważającą część trekku nocujemy w tzw. tea housach albo – jak kto woli – lodgach, czyli chatkach rozsypanych po całej trasie. Śpi się zazwyczaj we wspólnych izbach lub w spartańskich pokoikach, żywiąc się u gospodarzy. Menu jest identyczne w każdej wiosce: króluje dal bhat, czyli tradycyjny nepalski ►

Widok z bazy
na ścianę Baruntse





Jeden z tea house'ów w czasie trekkingu

posiłek składający się z góry gotowanego ryżu, sosu z soczewicy oraz dodatków, czyli mięsa (rarytas dostępny jedynie w niżej położonych wioskach) lub warzyw (które wyżej zmieniają się w ziemniaki). Poza tym serwowano makaron i ryż pod różnymi postaciami, nasza dieta nie była zatem – jak widać – zbyt urozmaicona.

Po drodze przechodzimy przez bazę pod Mera Peak (6476 m n.p.m.), popularnym szczytem trekkingowym. Góry w Nepalu dzielą się na trekkingowe i wspinaczkowe. Te drugie poznać można po dużo wyższych opłatach za permit. Od wierzchołka Mera dzieli nas zaledwie dzień drogi, ale bez ważnego pozwolenia nie decydujemy się z nim zmierzyć.

– Za taki wybrzyk grozi kilkuletni zakaz wjazdu do Nepalu – mówi nam Ania. A tego byśmy nie chcieli...

Na szczęście Baruntse nie jest zbyt popularną górą i w bazie tłumów nie ma. W czasie całego pobytu spotykamy pięć wypraw. Nasz nowy dom jest dość wysoko położony, bo aż na 5400 m n.p.m., nad pięknym czystym jeziorem. Dla porównania: baza pod pobliskim Makalu leży na 5000 metrach, a pod Everestem od strony nepalskiej na 5364 metrach. Do wierzchołka Baruntse jest dzięki temu bliżej, ale wydaje nam się, że minusy przewyższają plusy. Po pierwsze, jest przenikliwie zimno. Szacujemy, że temperatura w nocy dochodzi do minus 20 stopni.

Po drugie, trudniej jest się nam regenerować i leczyć pojawiające się infekcje. Prawie wszyscy na różnych etapach wyprawy zażywamy antybiotyki, jedni z lepszym, drudzy z gorszym skutkiem.

Te niedogodności wynagradza nam oszałamiający krajobraz. Z namiotów roztacza się widok na całą ścianę Baruntse i pociętą szczelinami grań szczytowa. Wpatrujemy się w nią jak zahipnotyzowani, zaklinając, by wpuściła nas do swojego królestwa.

Pierwsza próba nieudana

Działamy w dwóch zespołach: Aga i Paweł oraz ja z Marcinem i Robertem. Ania i Ola z powodu złego stanu zdrowia przez większość czasu muszą niestety pozostać w bazie. Dość szybko udaje nam się założyć obóz pierwszy na 6100 metrach oraz dwójkę na wysokości 6400 metrów. Droga do jedyńki wiedzie przez lodowiec i dość stromy skalno-śnieżny kuluar. Technicznie nie przedstawiają one większych trudności, jednak pierwsze wyjście do góry nieźle daje nam w kość. Plecaki ciążyą niemiłosiernie. Po raz kolejny zastanawiam się, czy wzięcie kart do gry i aparatu fotograficznego na pewno było konieczne. A może lepiej było je zamienić na jakąś konserwę? Rezultatem odciążenia plecaków jest bowiem ograniczenie naszego wysokogórskiego jadłospisu wyłącznie do liofilizatów, na które już

trzeciego dnia nie możemy patrzeć bez obrzydzenia.

Po solidnym odpoczynku w bazie rozpoczynamy ataki szczytowe. Wieści, które otrzymujemy od innych ekip, nie napawają optymizmem. Podobno grań szczytowa jest bardzo niestabilna i jeszcze nikomu nie udało się w tym roku dotrzeć na wierzchołek. Postanawiamy jednak spróbować i przy pierwszej próbie wczesnym rankiem, około godziny siódmej, wychodzimy naszą trójką w kierunku groźnej grani. Wszystko kończy się na wysokości 6800 metrów. Robi się późno. Obliczamy, że nie mamy szans wrócić do dwójki przed zapadnięciem ciemności. Schodzimy z silnym postanowieniem powtórnego zmierzania się z górą za dwa dni. W namiocie nachodzą nas wątpliwości. Dyskutujemy, czy i kiedy atakować.

– Brakuje nam jedzenia i mamy już trochę dość siedzenia na tej wysokości – oceniamy zgodnie. Jedynie Marcin jakby zapuścił korzenie w lodowiec i twierdzi, że nie ruszy się nigdzie, dopóki jeszcze raz nie zmierzy się z górą. Czekamy kolejnego dnia, gdy na szczyt ruszają Aga i Paweł. Oni jednak też zawracają.

Dowiadujemy się, że za kolejne dwa dni do ataku ruszać chce duża wyprawa komercyjna. Uznajemy z Marcinem, że warto poczekać i pójść równoległe z nią, choć Robert decyduje się schodzić. Jest jeden mały szkopuł – dokładnie tego dnia mamy ruszyć z bazy karawaną w drogę powrotną. Losy naszego ataku zależą tym samym od dobrej woli reszty wyprawy. Na szczęście zgadza się przepakować nasze plecaki, zostawić nam rzeczy na trek i jednego tragarza.

Atak – odsłona druga

Tym razem wychodzimy z namiotu po drugiej. Niebo jest rozświetlone gwiazdami zwiastującymi wspaniałą pogodę, w nocy jednak oznacza to jedynie potworne zimno. Mknijemy w górę w naszych Goreteksach, zastanawiając się, jakby to było mieć na sobie puchowy kombinezon. Ale może to i dobrze, bo tempo mamy dzięki temu naprawdę niezłe. Omijamy niektóre poręczówki i już około szóstej osiągamy lodowy uskoc, spod którego zawróciliśmy poprzednim razem. Obwieszony jest starymi linami, z których część dawno pokryła się warstwą grubego lodu. Odnajdujemy najsensowniejszy wariant, pokonujemy go za pomocą dziabek, a na górze otrzymujemy zasłużoną nagrodę – znad horyzontu nareszcie wylania się upragnione słońce.

Grań szczytowa trudno jest opisać. Bogactwo formacji i kształtów jest niesamo-

wite. Grzybki, szczeliny, ścianki lodowe, wążutkie eksponowane trawersy, osypujący się spod nóg śnieg – to tylko niektóre z atrakcji. Trudności trzymały do samego końca. Dodatkowo przeważająca część drogi wejściowej prowadziła w nieosłoniętym od wiatru terenie. My trafiliśmy na doskonałą pogodę, jednak przy nieco gorszych warunkach atmosferycznych zdobycie szczytu byłoby dużo bardziej wymagające.

2 listopada 2011 roku, o godz. 9.30 czasu nepalskiego na szczycie Baruntse stanął pierwszy Polak – Marcin Dudek z Rzeszowa. Pół godziny później również mnie dane było zobaczyć chorągiewki modlitewne powiewające na wierzchołku. Pogoda wymarzona jak na pierwszą wizytę na himalajskim szczycie – bezchmurne niebo, lekki wiaterek, krystalicznie czyste powietrze. Gdy zamknę oczy, nadal widzę panoramę roztaczającą się dookoła – góry po bezkres i na wszystkie chciałyby się wejść. Nie wiem jeszcze za co, ale wiem, że tam wrócę.

Happy end

Udanej wyprawy pogratulowaliśmy sobie z Marcinem dopiero w Lukli. Droga po-



Nasza ekipa w komplecie w obozie I. Od lewej: Robert, Iza i Marcin

wrotna do cywilizacji stanowiła wyzwanie nieco tylko mniejsze niż wydarzenia ją poprzedzające. Po tygodniu spędzonym w dwojce, nazajutrz po ataku szczytowym schodzimy do bazy, zwijając po drodze nasz namiot z jedyńki. Samolot do Katmandu mamy za pięć dni, nie możemy więc zregenerować się w bazie i kolejnego dnia bez żadnego odpoczynku ruszamy dalej.

Z braku czasu wybieramy trasę krótszą, lecz bardziej męczącą – przez przepiękną lodową przełęcz Ampulaptsa, wznoszącą się na 5900 m n.p.m. Nie chcąc zbyt obciążać naszego tragarza, dużą część sprzętu niesiemy sami. Ten maraton

dość mocno nas nadwątlą, czego skutkiem jest znaczny spadek wagi i wilczy wprost apetyt, który bez skrupułów zaspokajamy, gdy tylko się da. Okazji ku temu jest sporo, gdyż przez ostatnie trzy dni nasza trasa pokrywa się z najpopularniejszym w rejonie szlakiem trekkingowym, wiodącym do bazy pod Everestem i po drodze roi się od kafejek, restauracji i bardzo dobrze wyposażonych sklepów. W porównaniu do okolic, jakimi szliśmy pod Baruntse, te sprawiają wrażenie centrum miasta. Kto jednak nie chciałby osiągnąć w mieście, wokół którego piętrzy się Everest, Lhotse, Ama Dablam i setki innych dostojnych szczytów? ■

INFORMACJE PRAKTYCZNE

- Baruntse (7129 m n.p.m.) – szczyt w Himalajach, we wschodnim Nepalu. Pierwszego wejścia dokonali, drogą południową, Colin Todd i Geoff Harrow z Nowej Zelandii w 1954 r.
- Pierwszymi Polakami, którzy stanęli na tej górze 2 listopada 2011 r., są Izabela Czaplicka oraz Marcin Dudek. W 2009 r. w tym rejonie działała wyprawa Łódzkiego Klubu Wysokogórskiego, która na wysokości ok. 6900 metrów została zatrzymana przez gigantyczną szczelinę. Miniony sezon też nie zapowiadał się najlepiej. Układ grani szczytowej zmienił się diametralnie po wrześnieowym trzęsieniu ziemi i w żaden sposób nie odnosił się do opisów udostępnionych przez łodzian. Kilka wypraw odbiło się od trudności szczytowych, a drogę na szczyt udało się otworzyć wyprawie brytyjskiej na dzień przed polskim wejściem. W 2011 r. na wierzchołku stanęło łącznie dziewięć osób.
- Najlepszą porą na wizytę w Nepalu jest wiosna i jesień, lato to czas monsunów. Wiosną może być nieco cieplej, jesienią pogoda jest jednak bardziej stabilna.

DOJAZD

- Najtańszą opcją jest lot Aeroflotem przez Moskwę do Delhi (powrotny bilet promocyjny to wydatek ok. 1600 zł). Bardziej luksusowe rozwiązanie to Quarat Airlines (ok. 2500 zł). Z Delhi do Katmandu latają tanie linie, my wy-

braliśmy Spice Jet (ok. 600 zł). Uwaga: nie można zakupić biletu łączonego, dlatego warto zapewnić sobie zapas czasu na wypadek spóźnienia pierwszego samolotu. Z Katmandu do Lukli polecimy za 232 dolary liniami Tara lub Yeti.

NOCLEGI

- W Katmandu znajdziemy hotele na każdą kieszeń. Turyści najczęściej nocują w części miasta o nazwie Thamel. Ceny zaczynają się od 10 dolarów za dwuosobowy pokój.
- W czasie trekku za niewielką opłatą (w przeliczeniu nawet za 1,5 dolara) znajdziemy miejsce w lodgach. Koszt będzie tak niski jedynie wtedy, gdy żyjemy w tym samym miejscu, w którym śpimy.

MAPY I PRZEWODNIKI

- W Katmandu bez problemu nabędziemy materiały na temat każdego zakątka Nepalu, w tym mapy górskie. Nie są one niestety zbyt precyzyjne i z naszych doświadczeń wynika, że nie należy na nich zbyt polegać.

WYŻYWIENIE

- Nepalska kuchnia nie jest zbyt urozmaicona i na obszarach górskich składa się głównie z ryżu i makaronu. Tradycyjna potrawa to dal bhat – ryż z sosem z soczewicy i warzywami lub

mięsem. W Katmandu natomiast znajdziemy wszystkie smaki świata – od tradycyjnego jedzenia nepalskiego po restauracje serwujące steki z frytkami.

KOSZTY WYPRAWY

- Wspinaczka w Nepalu możliwa jest tylko po uzyskaniu permitu. Ich cena zależy od kategorii i wysokości szczytu. Pozwolenie na Baruntse kosztowało nas 450 dolarów na osobę plus 100 dolarów od osoby jako opłata dla agencji, która załatwiała formalności.
- Kilkutygodniowa ekspedycja wiąże się ponadto z kosztami tragarzy (ok. 20 dolarów za tragarza na dzień) oraz opcjonalnie kucharza w bazie. Ponadto zapłacimy za wstęp do parku narodowego.
- Walutą jest rupia nepalska (1 dolar to ok. 82 rupii, 1 zł to ok. 26 rupii).
- Łączny koszt całej naszej wyprawy wyniósł ok. 12 tys. zł na osobę.

POLISH BARUNTSE EXPEDITION 2011

Skład: Anna Czerwińska, Aleksandra Ilnatowicz (Klub Wysokogórski Warszawa), Agnieszka Konopka, Paweł Lulek (Wielkopolski Klub Taternictwa Jaskiniowego), Izabela Czaplicka (Wielkopolski Klub Taternictwa Jaskiniowego, obecnie Klub Wysokogórski Bielsko-Biała), Marcin Dudek, Robert Dziech (Klub Wysokogórski Bielsko-Biała).